JUŻ WKRÓTCE!

WIOSNĄ każdego roku Główna Kwatera Harcerstwa wzywa cały nasz Związek do wspólnego działania pod hasłem Alertu. Tego samego dnia i o tej samej godzinie wszystkie drużyny przystępują do wykonania alertowych zadań.

Alert I — Wiosenny Zwiad Zwycięstwa — poświęcony był ludziom, którzy zginęli w walce z hitleryzmem i w obozach zagłady. **W Alercie II — Harcerskim Zwiadzie Tysiąclecia** — poznawaliście ludzi naszych czasów, tych, którzy odbudowywali ze zniszczeń wojennych miasta i wsie, uruchamiali fabryki, tworzyli nową, sprawiedliwą Polskę.

Alert III nosi nazwę **Harcerskiej Próby Sprawności**, a poświęcony będzie tym, którzy bronią Polski Ludowej.

Już wkrótce, a może nawet za kilka godzin, przystąpicie do wykonania zadań Alertu III. Bądźcie w pogotowiu, pilnie słuchajcie komunikatów radiowych i telewizyjnych.

Dziś na stronie drugiej zamieszczamy sprawozdanie z wykonania pierwszego zadania **Alertu Próbnego**, który odbył się na terenie hufca dębickiego.

„MAM SZCZERĄ WOLĘ CAŁYM ŻYCIEM PEŁNIĆ SŁUŻBĘ POLSCE LUDOWEJ"... słowa przyrzeczenia harcerskiego rozbrzmiewają po pustkowskim Wzgórzu Śmierci, zapadają głęboko w sercach tysięcy zebranych harcerzy, rodziców, żołnierzy...

Uroczyste przyrzeczenie harcerskie składa na ręce Naczelnika ZHP, hm Wiktora Kineckiego, dwunastoosobowa grupa harcerek i harcerzy ze Szczepu im. Andrzeja Kucharskiego przy Technikum Chemicznym w Pustkowie. Tą podniosłą i wzruszającą chwilą zakończył się PRÓBNY ALERT hufca dębickiego.

Foto: Jerzy Dąbrowski

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 36 (1610) Warszawa, piątek, 5 maja 1967 r. Cena 50 gr

WOŁODIA-CZOŁGISTA

NA ADRES Głównej Kwatery ZHP nadszedł list do harcerzy o następującej treści:

„...Piszą do Was pionierzy drużyny imienia Wołodii Dubinina ze Szkoły nr 104 w Wołgogradzie. Prosimy was o pomoc w następującej sprawie.

Wyzwalając Polskę spod hitlerowskiej okupacji w 1945 r. zginął nasz stalingradczyk, Markin Włodzimierz Nikołajewicz, urodzony w 1923 roku.

Kiedy wybuchła wojna, był on jeszcze chłopcem. 20 czerwca 1941 r. po ukończeniu dziesiątej klasy Wołodia został słuchaczem szkoły broni pancernej w Stalingradzie. Kiedy faszyści zbliżali się do przedmieść Stalingradu, Wołodia wspólnie z innymi przyjaciółmi otrzymał czołg bojowy z tutejszej fabryki traktorów i jednocześnie stopień chorążego. Broniąc swojego miasta, Wołodia został kilkakrotnie ranny. Dowództwo odznaczyło go Orderem Wojny Ojczyźnianej I stopnia, Orderem Wojny Ojczyźnianej II stopnia. Orderem Czerwonej Gwiazdy i licznymi medalami.

Wołodia walczył pod Orłem i Siewskiem, na Ukrainie i Białorusi. Walczył w Karpatach, doszedł do Polski. I oto dwunastego lutego 1945 r. podczas zdobywania stacji kolejowej Jasienica koło Bielska-Białej. Wołodia został śmiertelnie ranny. Towarzysze broni zrobili mu opatrunek i zanieśli do piwnicy. Wkrótce zmarł z odniesionych ran i został pochowany na miejscu.

Koledzy! Pragniemy bardzo dowiedzieć się, czy zachował się grób Wołodii, gdzie spoczywają jego prochy. Prosimy bardzo odszukać go i dać nam odpowiedź.

Z pionierskim pozdrowieniem **przewodnicząca rady drużyny — Chramowa.**

Nasz adres: Wołgograd, Sowietski rejon, klasa VIb, Szkoła nr 104, Drużyna im. W. Dubinina.

*

Przedrukowaliśmy ten list z przekonaniem, że w dniach Alertu III jakaś drużyna czy zastęp chorągwi katowickiej natrafi na ślad, znajdzie miejsce spoczynku bohaterskiego czołgisty i nawiąże przyjaźń z wołgogradzkimi pionierami.

W HOŁDZIE BOHATEROM

KILKA kilometrów na północ od Dębicy w rejonie Pustkowa hitlerowcy urządzili ogromny poligon dla szkolenia frontowych oddziałów ss-mańskich. Do budowy urządzeń poligonowych zapędzili tysiące ludzi — Francuzów, Rosjan, Polaków, Żydów. Więźniowie kopali torf, wydobywali piasek z Wisłoki, ale przede wszystkim przerzucili tysiące ton gliniastej ziemi wznosząc wały i umocnienia. Ci, co nie mogli już pracować z powodu wycieńczenia, ginęli z rąk oprawców.

Obecnie na Górze Śmierci wznosi się pomnik-mauzoleum, ku czci pomordowanych, którym opiekują się harcerze z Pustkowa. Na zakończenie Próbnego Alertu odbył się tu uroczysty apel.

W czasie uroczystego apelu Szef Urzędu Rady Ministrów, minister Janusz Wieczorek odbierał od delegacji drużyn hufca dębickiego i zakładów pracy meldunki o opiece nad miejscami pamięci narodowej.

Patrole w AKCJI

ZE WSZYSTKICH stron wioski, ciągnącej się wzdłuż rzeczki Zawadki, spieszą pojedynczo i grupami zuchy i harcerze. Dziewczęta i chłopcy zmierzają w jedno miejsce — na plac koło szkoły. Upływa zaledwie kilka minut, gdy drużyny — zuchowa i harcerska — są w komplecie. Przybyli również strażacy z miejscowej OSP.

Rozpoczyna się zbiórka. Padają komendy przybocznych. Drużynowa, phm Weronika Grygiel, odczytuje przed frontem drużyn rozkaz Naczelnika ZHP o przystąpieniu do wykonania zadań Próbnego Alertu.

Harcerze przystępują od razu do wykonania pierwszego zadania — sprawdzenia zabezpieczeń przeciwpożarowych na terenie swojej wsi i w Państwowym Gospodarstwie Rolnym, zbadania szkód, jakie mogły powstać po okresie zimowym na drogach, przepustach wodnych, mostach oraz sprawdzenia, czy znaki drogowe stojące w rejonie Zawady nie są zniszczone lub zamazane.

Marysia Lew proponuje, aby całą wieś podzielić na mniejsze rejony i do każdego z nich skierować jeden patrol.

Zbyszek Drzymała zgłasza projekt wykonania szkicu terenowego Zawady, aby umieścić później na nim zauważone przez patrole wszystkie zagrożone miejsca. Obydwie propozycje zostały przyjęte. Na placu szkolnym ruch. Zastępowi tworzą patrole i zgłaszają swoją gotowość.

Przyłączamy się do trzeciego patrolu, który otrzymał rejon PGR-Zawada. Razem z nami idzie również strażak, Ryszard Siwula z OSP.

Na teren gospodarstwa dostajemy się przez piękny park, w którym stał kiedyś zameczek hrabiego Raczyńskiego. W ocalałym z czasów I wojny fragmencie zamku znajduje się obecnie kino i biblioteka. Nie ma jednak czasu na zwiedzanie zabytków, patrol musi się spieszyć, aby na czas wykonać zadanie.

W części gospodarczej PGR spotykamy magazyniera, pana Zygmunta Świetlika.

— Chcecie zbadać zabezpieczenia przeciwpożarowe? Proszę bardzo, nie mam przed wami żadnych tajemnic — wyraził zgodę pan Świetlik.

Tuż na skraju ogromnego podwórka stoi pod specjalnym daszkiem podręczny sprzęt przeciwpożarowy — wiadra, łopaty, drabiny, bosaki. Podobny sprzęt znajduje się jeszcze w innych punktach zabudowań gospodarskich. Na ścianach widoczne z daleka napisy: „Palenie wzbronione". Porządek panuje tu na każdym miejscu. Witkowi Pietrzykowi jednak to nie wystarcza, bo zwraca się z pytaniem do magazyniera:

— A gdyby wybuchł pożar, skąd wzięlibyście wodę do gaszenia?

— Mamy we wszystkich stajniach i oborach bieżącą wodę, a ponadto kilkadziesiąt metrów stąd znajduje się w parku zbiornik zapasowy. W planie mamy budowę zapory na rzeczce Zawadce. Spiętrzona woda wystarczy wtedy nie tylko dla nas, ale i dla całej wsi — odpowiada pan Świetlik.

— Skoro jesteście tacy dociekliwi, pokażę wam jeszcze inny sprzęt przeciwpożarowy — proponuje pan Zygfryd.

Idziemy wszyscy do podręcznego magazynu, gdzie pan Zygfryd pokazuje harcerzom gaśnice pianowe, motopompy oraz tłumaczy, w jaki sposób korzysta się z tego sprzętu.

W drodze powrotnej spotykamy patrol pod dowództwem Marysi Pasik. Dziewczęta miały zbadać drogę wiodącą ze wsi do drogi głównej „E-22". Na swej trasie odkryły dwa uszkodzone znaki drogowe — jeden był zgięty, drugi zamazany i nieczytelny. Zrobiły szkic i zaznaczały na nim miejsce, gdzie znajdują się te znaki. „Ponadplanowo" wykryły jeszcze na innym terenie uszkodzony mostek na Zawadce.

Na szkolnym podwórku znowu rojno od powracających z terenu patroli. Dowódcy składają swoje spostrzeżenia.

Romek Szewc ze swoimi chłopakami badał stan strychów w rejonie Zawada-Górna. Mają sporo krytycznych uwag. U pana Wilka znaleźli na strychu koło komina siano i plewy, przy czym komin był popękany. Odgarnęli łatwopalny materiał na bezpieczną odległość. Gospodarzowi polecili naprawić uszkodzony komin i poinformowali, że nie należy siana czy pakuł przechowywać na strychu. To samo było u pana Zagórskiego i u pani Kraśnej.

Dostarczone meldunki od ręki zostają nanoszone na plan całej wsi i najbliższej okolicy. Praca idzie sprawnie i szybko. Punktualnie o godzinie 17.00 zadanie pierwszego dnia Alertu jest zakończone. Adam Ciebień odbiera meldunek od drużynowej, wsiada na rower i pędzi do rejonu w Stasiówce, skąd inny łącznik zawiezie go do Komendy Hufca.

Na dużym kartonie powstaje plan Zawady, na który nanosi się zauważone przez patrole zagrożone miejsca. Meldunki z drużyn pozwolą później odpowiednim władzom powiatowym przystąpić do usuwania szkód i zaniedbań. Praca niesłychanie pożyteczna i ważna dla zapewnienia bezpieczeństwa.

Patrol harcerski, któremu towarzyszy strażak z OSP Zawada, pan Ryszard Siwula, sprawdza stan sprzętu przeciwpożarowego.

Tekst: ST. BOROWIECKI
Foto: J. Dąbrowski

Napisał
WITOLD KAISER

OJCIEC

WRACAM ze szkoły w ponurym nastroju. Matka obiera ziemniaki.

— Pomogę!

Zaprzeczający ruch głową.

Kładę teczkę na krzesło i rzucam się na tapczan. Sprężyny jęczą. W głowie szumi melodia, którą nazwałem „Idący las". Sam nie wiem, skąd mi to przyszło, ale natrętna melodia przypomina mi pochód wysokich sosen.

— Włącz telewizor! — krzyczy mi nad uchem Staszek, starszy brat.

Melodia ucieka.

— Włącz sam.

— Kazał pan, zrobił sam. Mam przecież brudne ręce, a ty leżysz sobie w biały dzień jak hrabia.

Włączam telewizor i uciekam do kuchni. Matka kończy obieranie ziemniaków. Wrzuca je do czerwonego garnka tak energicznie, że woda pryska na podłogę.

— Gdybym ja tak obierał, to by dopiero mama krzyczała.

— Co słychać w szkole? — matka zmienia temat.

Przez chwilę waham się, czy powiedzieć o najważniejszym. W końcu jednak dochodzę do wniosku, że prędzej czy później będę musiał się przyznać. Wybieram więc to „prędzej".

— Zniszczyłem ławkę.

Matka kładzie nóż na łupiny i patrzy na mnie zdziwiona.

— Ławkę? Jak można zniszczyć ławkę? Nie rozumiem.

— Przecież jej nie połamałem! Ponacinałem tylko scyzorykiem.

— A po co ty ją tak tym scyzorykiem? Co ty opowiadasz? Tak siedziałeś i ponacinałeś?

Matka nic nie rozumie. Muszę jej tłumaczyć, że ławkę nacinałem scyzorykiem przez cały rok, ale dopiero dzisiaj wychowawca zauważył. Jakże jednak można wytłumaczyć słowami, że jeżeli ma się doskonały scyzoryk i przed sobą płytę miękkiego drzewa a w głowie pomysły najróżniejszych rozwiązań plastycznych — to trudno — trzeba zniszczyć ławkę.

Chcę jeszcze opowiedzieć, że na środku ławki wyryłem piękną żaglówkę a obok beatlesa z grzywą do kolan... Ale nie, nie będę opowiadał.

Matka znów pochyla głowę, bierze nóż. Zanim jednak weźmie nowy ziemniak, mówi cicho:

— Kiedy trzeba przyjść do szkoły?

Siadam na podłodze. Dotykam palcem ostrza noża, który matka trzyma w ręku.

— Nie gniewasz się na mnie?

Matka milczy.

— Trzeba zapłacić za zniszczenie. Ja to załatwię. Sprzedam butelki i zapłacę. Ty tylko pójdziesz i powiesz, że wiesz i wszystko będzie w porządku.

Matka skończyła obierać ziemniaki. Podnosi się ciężko z małego stołeczka. Trochę zbladła.

— Odpocznij, mamo.

Matka podchodzi do zlewu, płucze ziemniaki pod strumieniem zimnej wody. Wkłada je na powrót do czerwonego garnka i stawia na kuchni. Cały czas milczy.

— Będę uważał na ziemniaki, a ty się połóż. Staszek zgasi telewizor.

Matka siada na kuchennym krześle. Odpina fartuch.

— Wieczorem wraca ojciec — mówi nagle, jakby chciała tym zdaniem zastąpić wszystko, co miała w ogóle do powiedzenia.

— Ojciec!?

— Dlaczego się nie cieszysz?

— Cieszę się... — uśmiecham się z przymusem.

Znów zacznie się stare życie. Z domu zniknie spokój i zaczną się awantury.

— Po co wraca? — pytam.

— Wraca, bo... wraca. Nie można bez ojca. Jest wam potrzebny. Do was wraca.

— Nie... — chcę mówić więcej, ale łapię się na tym, że chcę powiedzieć za dużo, chcę oskarżać.

Matka mówi spokojnie:

— Ojca nie było w domu dwa lata. Przez ten czas wiele się zmieniło. On sam zmienił się na gorsze. To już inny człowiek. Nie możesz mówić o nim jak o tamtym, który opuszczał nas wtedy.

Pamiętam. Straszna kłótnia. Najcięższe oskarżenia. Trzaskania drzwiami. Płacz. Krzyk. Spakowane walizki ojca. Zaciętość na wszystkich twarzach.

Do rozwodu nie doszło.

Po roku przyszły od ojca pierwsze pieniądze. Niewiele, ale matka nie odesłała. Przydały się. Potem coraz częściej listonosz przynosił przekazy. Było nam dobrze. Matka pracowała. Wystarczyło przecież na telewizor. Polubiłem nasz dom, który teraz był cichy i przytulny.

Matka też wyglądała na zadowoloną. Dziwiło mnie tylko to, że po nocach często płakała. Początkowo myślałem, że się boi. Podchodziłem do niej i mówiłem, że nikt tutaj nie przyjdzie, a gdyby nawet, to... niedoczekanie jego. Sprawimy mu takie lanie, że odechce mu się. Widocznie jednak matce nie o to chodziło, bo coraz częściej płakała w ciągu dnia.

Przypominam sobie. Za czasów ojca matka też płakała. Może trochę inaczej, gwałtowniej; ale płakała.

Prawdę powiedziawszy, bardzo chcę mieć ojca. Tego, co był, nie uważałem jakoś za ojca. Chcę, żeby był jak pan Janek albo jak kierownik szkoły — spokojny, poważny, silny. A ten mój był chudy, nerwowy, chorowity i w dodatku zły.

— Wyjdziesz na stację? — pyta matka.

— Dlaczego akurat ja?

— Bo ciebie ojciec lubił najbardziej.

— Mnie!? To niemożliwe! Nie wiedziałem!

Już wieczór. Tak szybko minął dzień. Coraz bardziej szumi w uszach melodia piosenki „Idący las". Kroki moje zgadzają się z jej rytmem. Dziwna melodia. Dziwne słowa, które same się układają:

Las, las, idący las.
Jak pociąg, jak pociąg,
którym ojciec przyjeżdża do nas.

Wiem. To jest nonsensowne, gdybym powiedział głośno, ale w szumie melodii jest bardzo naturalne.

Tak naprawdę to nie myślę o ojcu. Przychodzą mi na myśl różne sprawy, również sprawa zniszczonej ławki. Słyszę jakby strzępki rozmów kolegów, podniesiony głos wychowawcy. I znów melodia i dziwne słowa. Nie myślę o ojcu... a jednak on stoi za wszystkimi myślami. Dlaczego?

Zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało spotkanie z ojcem. Czy mam do niego podbiec i zawołać: „Jestem tu, tatusiu?" Nie, nie. Czy też spokojnie zagadnąć: „Dzień dobry, to ja, Marek"? Sam już nie wiem.

Pociąg wjeżdża na stację. Peron zapełnia się ludźmi. Wypatruję ojca. Same obce twarze. Zdaje mi się, że przeszedł gdzieś bokiem nie zauważony. A przecież chcę go zobaczyć. Może z ciekawości, może z przekory, a może właśnie dlatego, że to mój ojciec? Zawsze chciałem iść u boku jakiegoś mężczyzny i mówić kolegom: „Przywitajcie się, to mój ojciec". I chciałem jeszcze, żeby on wtedy uśmiechnął się powściągliwie i spokojnym głosem odpowiedział: „No jak, chłopcy? Odwiedzicie kiedyś Marka w domu?" Sam nie wiem, skąd biorą się takie myśli właśnie teraz, kiedy szukam twarzy ojca?

Peron pustoszeje. Pociąg rusza. Przebiegam szybko cały peron wzdłuż. Ojca nie ma. Wracam przed dworzec.

Chce mi się gnać do domu, ile sił w nogach, ale nie ruszam się z miejsca. Stoję akurat przed kioskiem z piwem. Zarośnięci mężczyźni piją piwo prosto z butelek. Przykładają do warg i ssą. Wzdrygam się. Obrzydliwe.

— Co się gapisz, mały kapiszonie? — mówi jeden z pijących.

— Chciałby się napić a wstydzi się — śmieje się głośno drugi.

Odwracam się od nich.

W ciemności drzewa wyglądają jak olbrzymie straszne wieże. Moja melodia nie chce wracać. I nagle...

— Marek?

— Tato!

W ciemności nie widać twarzy.

— Czekałem na ciebie na peronie.

— Chyba minęliśmy się...

Kontury drzew stają się małe i zaokrąglone. To już nie straszliwe wieże, o po prostu korony drzew, puszyste i przyjemne. Spokój i cisza. W uszach jakaś nowa melodia. Trudno ją nawet odróżnić od gwałtownych myśli. Idziemy, idziemy. Mostek, alejka, zakręt przy mleczarni. Jasne okna domu.

Ojciec zatrzymuje się i długo patrzy. Dopiero teraz widzę rysy jego twarzy. Taki sam jak przedtem. Ale jednak coś w nim innego. A może to we mnie coś się zmieniło? Sam w końcu nie wiem. Co to, jego szczupłe policzki stają się mokre od łez? Ojciec płacze. Zupełnie tak samo jak matka. Chwytam go za rękę, ciągnę do drzwi.

Otwiera matka. Całują się, płaczą. Jak dzieci. Jak dwie baby.

Wesoło mi. Tam płaczą, a mnie wesoło. Grzmocę Staszka po plecach kułakiem i wrzeszczę: „Hurraaaa!"

— Wariat! Przestań... — broni się Staszek.

Wyraźnie słyszę nową melodię. Jak wodospad. Skacze woda po kamieniach, mieni się w słońcu. Taka to melodia.

Wesoło mi. Tylko żałuję, że tę ławkę ponacinałem scyzorykiem.

Rys. M. TEODORCZYK

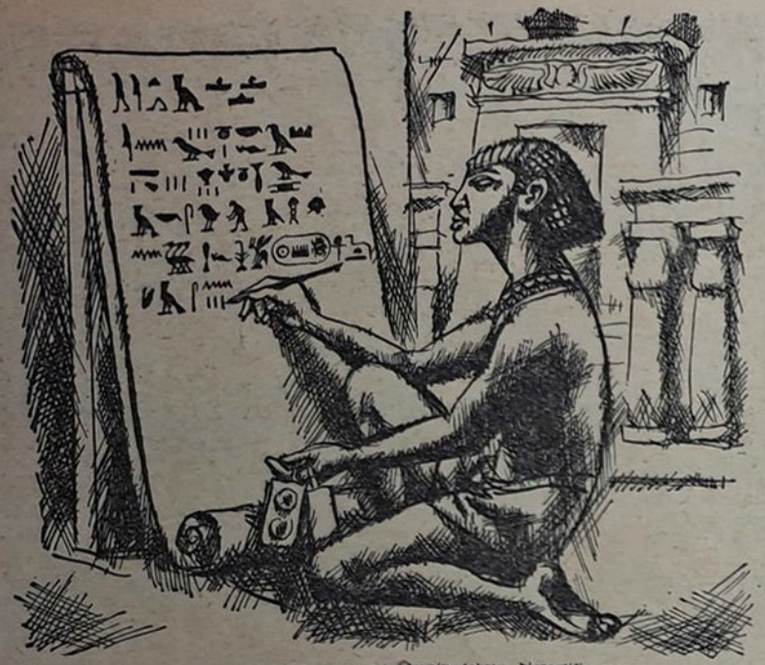

Pisarz egipski przy sporządzaniu tekstu hieroglificznego.

Historia kartki papieru

Historia nie pozostawiła nam nazwiska tego, kto pierwszy wpadł na pomysł, ażeby z łodyg tego właśnie papirusu produkować materiał do pisania. Musiało to się jednak stać bardzo dawno, skoro pierwszy zapisany na papirusie cytat pochodzi sprzed 5 tysięcy lat — a więc z okresu, kiedy za materiał do pisania służyły skały.. Tak jednak bywa już z odkryciami, że często przez wieki całe stanowią one całkowitą tajemnicę. Dlatego też, za oficjalną datę powstania papirusu uważa się lata: 323—30 przed naszą erą — kiedy to w starożytnym Egipcie panowała dynastia Ptolomeuszów. Za czasów tej właśnie dynastii papirus zaczęto wyrabiać — jak byśmy to dziś powiedzieli — na skalę przemysłową, zachowując jednak w ścisłej tajemnicy produkcję tego materiału.

Dziś wiemy, że łodygę papirusu (bez liści) krajano na cienkie pasemka, które następnie składano w dwie warstwy na desce: jedną warstwę łodyg wzdłuż deski — drugą w poprzek. Z kolei tak właśnie ułożone łodygi ściskało się mocno, specjalną prasą, a wyciekający sok sklejał obie warstwy w jedną cienką całość. Pasek musiał być jeszcze wysuszony na słońcu, następnie pięknie się go gładziło i przycinało. W ten sposób powstawały długie i cienkie pasemka papirusu, które za pomocą pałeczki zwijano w zwój.

Najdłuższy zwój papirusu — jaki kiedykolwiek odnaleziono — liczył sobie 40 metrów i przechowywany jest w Brytyjskim Muzeum w Londynie. Przy okazji warto jeszcze wiedzieć, że tak popularne słowa jak... **protokół** i **tytuł** mają ścisły związek z papirusami. Otóż na początku każdego papirusu znajdował się specjalny stempel — określony mianem protokołu. Natomiast... titulus był to mały jęczyczek, zazwyczaj skórzany, przyczepiony u dołu zwoju. Twórca wypisywał na nim tytuł swojego dzieła...

W V wieku naszej ery papirus był już w powszechnym użyciu i przetrwał aż do X wieku. W tym właśnie okresie zaczęto swoje papirusów zastępować... pergaminem.

Prezentacja chińskiego papieru w Samarkandzie.

ROZDZIAŁ I

w którym przeczytacie o skale z tajemniczym napisem

OD SWOICH NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW człowiek pragnął pozostawić po sobie ślad, który sławiłby jego czyny. Więc rysował na ścianach jaskiń sceny z polowań, wznosił gigantyczne budowle, kuł w skałach płaskorzeźby i napisy. I dopiął swego.

Oto wielka skała, wznosząca się przy drodze wiodącej do Babilonu. Wysoko wykuto staroperskim pismem klinowym napis. Przez tysiąclecia stanowił on zagadkę, bo nikt nie potrafił rozszyfrować tych dziwnych i tajemniczych znaków. Udało się to dopiero Anglikowi Rawlinsonowi w roku 1846. Okazało się wtedy, że napis sławi czyny króla Persów Dariusza I, który panował 2500 lat temu, stoczył 19 zwycięskich bitew z Asyryjczykami, Egipcjanami, Scytami... i doprowadził kraj do potęgi. Wierzyć się wprost nie chce, że nie wykruszyły napisu ani upalne promienie słońca, ani deszcze, burze i nawałnice. Trwał przez wieki...

Napis na behistuńskiej skale pod Babilonem nie jest jednak najstarszym zabytkiem piśmiennictwa, gdyż w Persji (dziś Iran) znajdują się na skałach napisy, które liczą sobie 10 tysięcy lat.

Potem wspaniałe czyny władców oraz sprawy wagi państwowej zaczęto zapisywać na płytkach kamiennych, na płytkach z brązu, gliny, srebra, kości słoniowej. Raporty ryto ostrymi narzędziami. Metoda ta była na pewno o wiele łatwiejsza — nie wymagała tyle wysiłku — uczeni mogli przecież zapełniać tabliczki znakami pisarskimi w swoich pracowniach — mogli też pozwolić sobie na dłuższe opisy — tabliczki bowiem można było ze sobą łączyć, tekst ciągnął się więc nieraz przez kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tabliczek.

Największy tego rodzaju zbiór znaleziono w miejscowości Tell el Amarna (Górny Egipt). Składał się on z kilkuset zapisanych pismem klinowym płytek. Stanowią one jedno z najstarszych archiwów na świecie. Po odszyfrowaniu znaków okazało się, że archiwum zawiera korespondencje z XIV wieku przed naszą erą — ówczesnych faraonów z książętami Bliskiego Wschodu...

Tabliczki też jednak były niewygodne — były ciężkie, trzeba je było przechowywać w wielkich kutych skrzyniach — zaczęto więc używać do pisania materiałów lżejszych — przede wszystkim specjalnie spreparowanych liści palmowych oraz kawałków kory z drzew. Dziwne — ale do dzisiaj w niektórych okolicach Syjamu ludność posługuje się w korespondencji — liśćmi palmowymi.

ROZDZIAŁ II

w którym opowiemy o erze Papyrusa cyperusa

ROSŁA NAD BRZEGIEM NILU roślina z rodziny traw, podobna do naszej trzciny. Nazywano ją Papyrus cyperus — co w tłumaczeniu na język polski znaczy... cibora papierowa. Od prawieków miejcowa ludność arabska wyrabiała z tej... wysokiej trawy maty, sznury, a nawet płótna żagle.

ROZDZIAŁ III

w którym wybuchnie... rewolucja w mieście Pergamon

ZA CZASÓW PANOWANIA w Egipcie dynastii Ptolomeuszów, powstała w mieście Aleksandrii olbrzymia biblioteka, którą wówczas uważano za największą na świecie. Zbiory papirusów zapełniały tutaj sale od posadzek do sufitu. Do słynnego miasta ściągali uczeni ze wszystkich stron i nic dziwnego, że władca miasta Pergamon w Azji Mniejszej pozazdrościł sławy Aleksandrii i kazał wybudować podobną bibliotekę. Kłopot tkwił jednak w tym, że mieszkańcy Pergamonu nie potrafili wyprodukować papirusu. Wysłano przeto do Aleksandrii posłów, ażeby ci zbadali tajemnicę wytwarzania długich białych pasemek, służących do pisania. Ich wyprawa nie przyniosła jednak wyniku, więc w mieście Pergamon zawrzało od świętego oburzenia i kto wie, czy nie powstałby nawet konflikt zbrojny, gdyby nie rozsądna myśl władcy tego wielkiego miasta. Otóż doszedł on do wniosku, iż rzemieślnicy Pergamonu powinni wyprodukować jakiś materiał zastępczy, na którym również można by stawiać znaki. W ten sposób powstał... pergamin, wyrabiany ze skór owczych, koźlich, cielęcych... Rzecz oczywista, skóry pięknie garbowano tak, że nie były one grubsze od zwykłej kartki dzisiejszego papieru. Początkowo zapisane odcinki zwijano jak papirus, ale wkrótce zaczęto skóry przycinać i składać.

Pergamin zaczął uzyskiwać przewagę nad papirusem — był tańszy w produkcji, a przede wszystkim trwalszy, co miało niemałe znaczenie zważywszy, iż ludzi umiejących pisać było wówczas niewielu, a księgi były cenniejsze od złota.

Produkcja pergaminu (od miasta Pergamon) rozpowszechniła się po świecie. Tajemnica ta dotarła również do Europy i aż do XVII wieku kodeksy i księgi spisywano wyłącznie na tym materiale, choć w Chinach już od I wieku naszej ery znano papier. Technologię jego wytwarzania odkrył Tsai Lun i, mimo iż upływały wieki, nikt poza Chińczykami nie wiedział, jak się ten produkt przyrządza. Tajemnicę wytwarzania papieru strzeżono w Chinach jak największego skarbu.

ROZDZIAŁ IV

w którym jeńcom rozwiązują się języki

W TURKIESTANIE, po obu stronach rzeki Tharaz, stoją dwie armie, które już za kilka chwil stoczą ze sobą krwawą bitwę. Odzywają się zewsząd bębny i trąby. Szybka jak wiatr konnica arabska uderza w chińskie szyki, które nie wytrzymują natarcia i zaczynają się łamać.

Podczas tej bitwy, stoczonej w roku 751, wielu Chińczyków dostało się do niewoli arabskiej. Zostali oni osadzeni w mieście Samarkandzie, które w tamtych latach wchodziło w skład olbrzymiego terytorium arabskiego. Traf chciał, że niektórym Chińczykom znana była produkcja papieru i oni to właśnie rozwinęli w kraju arabskim nową gałąź przemysłu — papiernictwo. Mijały lata i papier arabski zaczął nawet przewyższać pod względem jakości papier chiński, a miasto Samarkanda zasłynęło na cały świat z najprzedniejszych gatunków papieru.

Papier wędrował na grzbietach wielbłądów do wszystkich zakątków świata, najmniej jednak do Europy: był jeszcze niepotrzebny, bo wtedy nawet królowie nie potrafili się podpisać.

Starożytny Pergamon. Wynalazek pergaminu.

W tym samym czasie, kiedy zaczęto wyrabiać papier w Samarkandzie — podobną metodę wytwarzania znali również Aztekowie. Np. Montezuma posiadał zawsze do własnej dyspozycji rezerwę papieru, składającą się z 500 tysięcy arkuszy. Kiedy w XVI wieku Cortez wysyłał do Hiszpanii aztecki łup — wśród wielu bezcennej wartości przedmiotów ze złota znajdowała się również jedna skrzynia z papierem.

Papier w Europie zaczęto produkować dość późno, bo dopiero w 1100 roku, w hiszpańskiej Walencji. Natomiast pierwsze papiernie w Polsce zaczęły powstawać w XIV wieku — dokładnie w roku 1473. Pierwsza polska papiernia powstała w Prądniku koło Krakowa. Następne zbudowano w Gdańsku oraz w wielu miejscowościach na Dolnym Śląsku, m. in. w Dusznikach. Papier produkowano ze szmat lnianych i bawełnianych

---

Pawiany szukają wody

● Dla mieszkańców afrykańskiego buszu długotrwała susza staje się tragedią, zagrażającą niejednokrotnie życiu. Kiedy więc przez wiele miesięcy nie spadnie kropla deszczu, wyschną rzeki i jeziora, ludzie odwołują się do pomocy... pawianów. Pawiany bowiem potrafią odkryć wodę pod ziemią. Najpierw daje się pawianowi garść soli, którą małpa łakomie zjada. Wkrótce zaczyna dokuczać jej pragnienie, zaczyna więc szukać wody.

Zazwyczaj pawian bardzo szybko znajduje miejsce, w którym woda powinna być tuż pod powierzchnią ziemi. W miejscu tym pawian rozgrzebuje ziemię łapami. Murzyni uważnie śledzą zwierzę i korzystają z odkrytej przez nie wody, którą w takiej sytuacji można mierzyć na wagę złota.

Święta kwiatów

● Od zarania ludzkości kwiaty były symbolem piękna. Poeci opiewali ich urodę, a zakochani obdarowywali nimi swe sympatie. Ale zawsze wśród ogromnej ilości kwiatów jakiś jeden gatunek cieszył się większym od innych uznaniem.

I tak np. starożytni Grecy szczególnie cenili sobie lilie i hiacynty. W Japonii — już od wieków — wiosną królują kwiaty wiśni, a jesienią chryzantemy. Na paryskich ulicach zjawiają się w końcu maja niezliczone ilości bukiecików konwalii, przypominając o nadejściu wesołego święta tego kwiatu. W Bułgarii, w końcu sierpnia podczas zbioru płatków różanych w słynnej Dolinie Róż — obchodzone jest święto róż. W średniowieczu róże były też ulubionymi kwiatami mieszkańców niektórych południowych miast francuskich.

Pamięci żołnierzy, poległych w dwóch ostatnich wojnach światowych, poświęcone jest angielskie święto maków. Tego dnia nawet poważni panowie ozdabiają klapy swych marynarek tymi jaskrawymi kwiatami.

Olbrzym

● Jedna z afrykańskich gazet donosi, iż w Transwaalu mieszka człowiek, którego

Odkrycie Kellera.

taką samą metodą, jak to robili Arabowie z Samarkandy.

ROZDZIAŁ V

w którym znajdziemy się w dusznickim muzeum

ŻELAZNĄ KOŁATKĄ stukam do drzwi. Szczękają zasuwy i wchodzę do wnętrza wiekowej papierni w Dusznikach. Tutaj, produkowano papier od 1609 roku, aż do naszych czasów. W wyniku II wojny światowej zabytkowa papiernia została zdewastowana. W tej chwili trwają wciąż prace porządkujące, ale już za trzy miesiące papiernia znowu otworzy swoje podwoje. 22 lipca nastąpi bowiem uroczyste otwarcie jedynego w Polsce i szóstego na świecie muzeum papiernictwa. Pragnie się tu również uruchomić produkcję papieru czerpanego w ilości 10 tysięcy ton papieru rocznie. Produkcja odbywać się będzie tak, jak niegdyś i zwiedzający będą mogli obserwować proces powstawania masy papierowej, począwszy od moczenia szmat, a skończywszy na czerpaniu papieru specjalnymi zabytkowymi sitami z filigranami. Trzeba bowiem wiedzieć, że każda papiernia zaopatrywała arkusze papieru w swoje znaki wodne — czyli filigrany. Po takim znaku można było poznać, z jakiej papierni arkusz pochodzi.

Po pomieszczeniach starej papierni oprowadza mnie pan Michał Kowalski, który od wielu już miesięcy przebywa w Dusznikach i przygotowuje uroczyste otwarcie muzeum papiernictwa. Dowiaduję się od niego o wielu, nieomal sensacyjnych historiach z historii papieru czerpanego.

Otóż nie każdy pewnie wie, że od XV do XVIII wieku zawodem, bez którego papiernia nie mogła istnieć, był zawód zbieracza szmat. Każda papiernia zatrudniała kilkunastu takich szmaciarzy, a w Dusznikach było ich dziesięciu. Jeździli oni wozami po okolicznych wioskach i zbierali albo kupowali stare szmaty. Zapotrzebowanie na nie było ogromne: papier był potrzebny, a przecież wyrabiano go właśnie ze szmat. Dla przykładu: żeby wyprodukować jedną ryzę papieru, należało przerobić aż 13 kg szmat. (1 ryza równa się 1000 arkuszy). Tymczasem dzienna produkcja papieru w Dusznikach wynosiła 2 200 ryz. Szmaciarze wędrowali więc z wózkami po wioskach — szperali po zakamarkach, namawiali do sprzedawania starych ciuchów.

Z biegiem lat sytuacja stała się krytyczna. Zapotrzebowanie na papier rosło, a szmat zaczęło brakować. Nic dziwnego, skoro tylko w Anglii zapotrzebowanie na szmaty wynosiło rocznie 40 milionów kg. Szmaty były więc wówczas cennym materiałem eksportowym. Żeby załagodzić sytuację, papiernie ogłaszały konkursy na wynalezienie nowych materiałów, z których można by wyrabiać papier. Dla wynalazcy wyznaczono nagrodę w wysokości 200 talarów. Chętnych racjonalizatorów nie brakowało.

Często jednak epokowym odkryciom towarzyszą przypadki. Tak było i w historii papiernictwa.

Otóż pewnego razu, niejaki Gottlob Keller, Saksończyk, szlifował kawał drewna na kamieniu, który służył mu zazwyczaj do ostrzenia siekiery. Kamień obracał się, a do wody w korytku spadały resztki drewna w postaci ścieru. W końcu Keller wygladził drewno i zauważył, że woda w korytku jest gesta od ścieru i aż biała. Keller przelał wodę z korytka do garnka. Przy tej czynności rozlał sporo ścieru na obrus i żona zaczęła go beształ.

— Nie złość się — odrzekł Keller. — Zaraz osuszę obrus.

Ale zamiast suszyć obrus, Keller zdjął nożem ścier drzewny i rozmazał nim jedną kartkę w książce. Następnie książkę zamknął i odłożył. Minął dzień, Keller zagląda ponownie do książki i oczom nie wierzy. Mokry ścier drzewny wysechł i utworzył cienką kartkę papieru z drewna.

Stara papiernia w Dusznikach W tej chwili zgromadzono w salach wiele cennych eksponatów, które będą chlubą przyszłego muzeum papiernictwa. Papiernia stała niegdyś nad rzeką, która dziś zmieniła nieco bieg. Woda przy produkcji papieru czerpanego odgrywała dużą rolę: jakość papieru zależała od jej czystości, twardości
Foto: S. Arczyński

I tak to właśnie, w roku 1843, dzięki przypadkowi pan Keller wpadł na trop, że papier można też wytwarzać ze ścieru drzewnego, co praktykuje się do dziś. Drewno stało się więc głównym składnikiem papieru.

Spaceruję po salach przyszłego muzeum. Zgromadzono już wiele eksponatów. Na długim stole oglądam przedmioty wykonane z papieru. Są wśród nich ręczniki i bandaże, kubki, miski i wiadra, firanki, obrusy, ubrania a nawet śmigło samolotowe. Trzymam też w ręce papier ogniotrwały, nie szeleszczący, izolacyjny, odporny na wodę, kwasy itp.

Cóż — dobrnęliśmy do XX wieku, w którym nie można sobie wyobrazić bez papieru Postępu, Kultury i Cywilizacji.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI
Rys. M. Kościelniak

wzrost wynosi dwa metry siedemdziesiąt pięć centymetrów. Nazywa się John Kamujanga. Wskutek swojej niezwykłej wysokości nie może on jeździć ani na rowerze czy motocyklu, ani korzystać z autobusów i innych publicznych środków lokomocji. Kiedy jednak chodzi pieszo, nikt nie jest w stanie dorównać mu kroku.

Sowi słuch

●Najważniejszymi zmysłami, zarówno u ludzi jak i u ptaków są: wzrok i słuch. Wśród ptaków najlepiej rozwinięty słuch mają sowy. Potrafią one odsłaniać i zamykać uszy. Odsłaniając fałdy uszne chwytają fale głosowe nadchodzące przede wszystkim od tyłu.

U większości ptaków oczy skierowane są na boki, skutkiem czego mają one pole widzenia daleko szersze od człowieka. Np. słonka przy normalnej pozycji głowy widzi wszystko, co dzieje się nad nią i za nią.

ZAWISZACY (8)

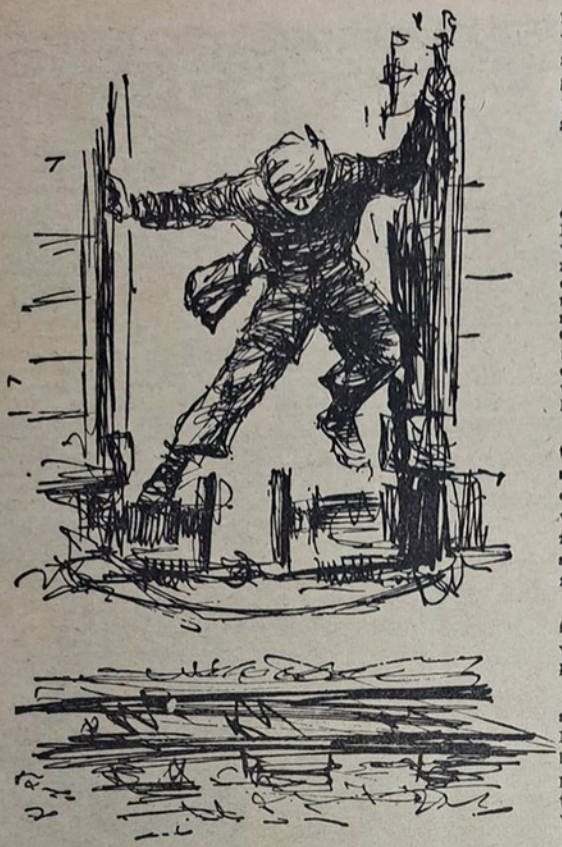

ment przerwania działań bojowych w całej Warszawie, a ściślej mówiąc w Śródmieściu, gdyż wszystkie inne dzielnice padły już wcześniej pod ciosami wroga.

*

...Zaczęła się stopniowa ewakuacja ludności, wyznaczonymi przez Niemców trasami. Oddziały powstańców szły do niewoli. Nasz zawiszacki rój Ziem Zachodnich dostał z Pasieki rozkaz opuszczenia miasta wraz z ludnością cywilną. Nastąpił dzień wymarszu. Ostatnia zbiórka roju, uroczysty raport, apel ku czci tych, którzy odeszli z zawiszackich szeregów na wieczną wartę, hymn — **„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA"...**

Wychodziliśmy z miasta po dwu, trzech, w grupach cywilów, ulicami obstawionymi przez hitlerowców, śmiało i wzgardliwie patrząc w ich tępe oblicza. Wiedzieliśmy, że walka trwa dalej, że szkopy dostają cięgi na wszystkich frontach, że dni ich są policzone.

W pruszkowskim obozie przejściowym, wśród tysięcy warszawiaków, spotkaliśmy się znów całą drużyną.

Noc spędziliśmy na żelaznych stołach warsztatów kolejowych. Nazajutrz Niemcy w wyniku drobiazgowej segregacji na różne grupy, porozdzielali nas. Do końca trzymałem się razem z Krukiem. Widzieliśmy, jak na lewą stronę

Wieczorem załadowano nas do odkrytych, towarowych wagonów. Pociąg konwojowany przez Niemców ruszył w stronę Koluszek. Umykała stacja za stacją — Koluszki, Piotrków, Radomsko. Kiedy minęliśmy je, wagon nasz opanowała pogłoska, że wiozą nas do Oświęcimia. Podjąłem wówczas decyzję ucieczki.

Nad ranem, gdzieś między stacjami Kłomnice — Rudniki, kiedy pociąg zwolnił bieg pod sygnałem, przelazłem między wagony, na zderzaki. Pociąg zatrzymał się! Zeskoczyłem, stając między wagonami — niby za swoją potrzebą. Gdy po chwili stuknęły zderzaki i gwizdnęła lokomotywa, padłem plackiem na podkłady, tak jednak blisko szyn, by być zasłoniętym przez platformy wagonów. Pociąg, ze stukotem kół przedudnił tuż obok mnie. Byłem wolny! Wstawał dzień 5 października 1944 r.

*

W drodze do pobliskiej wsi natknąłem się na starszego wiekiem mężczyznę, który tak jak i ja, prysnął z transportu. Był nim inż. Kaszer, Żyd, który podczas powstania pracował, jako wybitny specjalista, w wytwórni granatów. Nie miał on żadnych dokumentów. Gdyby natknął się na hitlerowców, groziła mu niechybna śmierć. Poprosił mnie, bym zgodził się, chociaż przez kilka pierwszych dni, uchodzić za jego syna. Do identyfikacji miała nam służyć legitymacja z moim nazwiskiem. Wymyśliliśmy

Jeszcze nie zginęła...

OSTATNIE DNI WRZEŚNIA. Czas złotej, polskiej jesieni opiewanej tylekroć przez pisarzy i poetów. Poeci tego czasu milczeli jednak, padli w boju lub wrośli w barykady pisząc poematy walki o wolność seriami z peemów. Nie ma na drzewach zielonych liści, które złotem krasiłaby jesień. Posypały się w pełni lata, strącone pociskami, osmalił je ogień. Drzewa tkwią jednak głęboko korzeniami w warszawskich ulicach. Na pozór martwe — żyją.

Pod jedną z takich warszawskich ulic, Natolińską, drużyny naszego roju drążą jak krety, podkop. Jedna strona tej ulicy jest w rękach powstańców, druga zaś opanowana przez Niemców. Tunel biegnący z piwnic domu po naszej stronie, musi wypaść pod bramą domu naprzeciw. Powstańcy zaskoczą nim Niemców, wyprą, odrzucą...

„Na przodku" pracowaliśmy po dwóch, w pozycji klęczącej, drążąc saperkami żółty piach. Czuwający nad naszą pracą saperzy zakładali stemple, jak w kopalni, żeby jezdnia nie zarwała się nam na głowy.

Jednego z takich pracowitych dni, kiedy po godzinach spędzonych pod ziemią wychodziliśmy z tunelu, bladzi, słaniający się ze zmęczenia, przy naszej stanicy, natknęliśmy się na kilkunastu chłopaków w panterkach. Unurzani w błocie i ociekający wodą, ledwie trzymali się na nogach.

— To „Zośka". To chłopcy z „Zośki"! — ktoś zawołał.

— Skąd?!

— Mokotów! — odparł lakonicznie czarny chłopak w panterce, opasanej taśmą od rkm-u. Głos jego wydał mi się dziwnie znajomy. Podszedłem bliżej.

— Wacek! — krzyknąłem uradowany.

— Jurek! Ty tutaj?

Tak oto po dwu miesiącach spotkałem swojego drużynowego z 12 WDH, Wacka. Opowiedział mi on o ciężkich walkach resztek batalionu „Zośka" na Mokotowie, o dramatycznej, wielogodzinnej przeprawie kanałami do Śródmieścia. Chłopcy z „Zośki" zawsze ostatni opuszczali zagrożone pozycje, osłaniając inne wycofujące się oddziały.

Kiedy „zośkowcy" znaleźli się w naszej stanicy, otoczyliśmy ich serdeczną opieką. Oddaliśmy im nasze posłania, doprowadziliśmy do porządku odzież, czyściliśmy mokrą, unurzaną w kanałowych nieczystościach broń. Na tych czynnościach zastał nas mo-

skierowano Władka, Dorsza, Tadka, Zygmunta... Wiedzieliśmy, że to transport do Niemiec. A co z nami? Trzeba było przedstawiać dokumenty. Kruk wyjął legitymację bodajże szkoły zawodowej, ja zaś legitymację z siódmej klasy.

Niemiec rzucił okiem na mój dokument i wskazał prawą stronę — przeszedłem do gromady kobiet z dziećmi. Spojrzałem z niepokojem na Kruka. Będziemy razem, czy nie? Niemiec popchnął go jednak na lewo. Znalazłem się więc sam, w tłumie kobiet, dzieci i starców.

odpowiednią wersję rodowodową, mieszkalną itd.

Kościelec, wieś do której trafiliśmy, zatłoczona była warszawiakami. Okazało się, że przywieziono tu poprzedniego dnia transport kobiet, starców, chorych — ludzi, którzy nie nadawali się na roboty do Niemiec.

Jeden ze spotkanych warszawiaków doradzał nam, aby zgłosić się do sołtysa, który ma obowiązek przydzielić nam miejsce u któregoś z gospodarzy. Tak też zrobiliśmy.

Sołtys zarejestrował nas pod moim nazwiskiem i przydzielił do

gospodarstwa na końcu wsi. Zamieszkaliśmy u nauczycielki, pani Madejowej.

Pan Kaszer zadomowił się tu na dobre, ja zaś na początku listopada postanowiłem pojechać pod Grójec, gdzie kilku lokatorów z naszego warszawskiego domu miało tam rodziny. Od nich to miałem nadzieję dowiedzieć się, co się stało podczas powstania z moimi rodzicami.

Opracowałem przy pomocy mapy najkrótszą trasę. Dojechałem pociągiem do Rogowa za Koluszkami, z Rogowa kolejką wąskotorową do Białej Rawskiej, stąd zaś piechotą, 30 kilometrów do Grójca.

Front stał wówczas na linii Wisły. Na terenach, przez które wypadła moja piesza trasa, trwał ożywiony ruch wojsk hitlerowskich. Mijałem patrole żandarmerii, samochody, podwody. Już na początku samotnej wędrówki z Białej Rawskiej do Grójca zacząłem „usprawniać" ruch wojsk hitlerowskich. Na pierwszym skrzyżowaniu dróg, bodajże w Woli Chojnatej, przekręciłem drogowskaz wskazujący kierunek do Białej Rawskiej, na kierunek w stronę Mszczonowa.

...Trasę tę między Białą Rawską i Grójcem pokonywałem w ciągu listopada i grudnia pięciokrotnie, niszcząc w tym czasie lub przestawiając drogowskazy. Ostatni raz szedłem tędy 16, a może 17 stycznia 1945 wraz z odnalezioną w międzyczasie mamą. Tego zimowego, mroźnego dnia, po wyjściu z Białej Rawskiej, na piątym kilometrze, właśnie w Woli Chojnatej, gdzie się na chwilę zatrzymaliśmy, minęło nas kilka pojazdów hitlerowskich, pędzących co sił w silnikach. Skręciły, według przestawionego drogowskazu, w prawo!

W chwilę później przeleciały nisko nad wsią trzy samoloty radzieckie, a wkrótce potem do wsi wpadli na motocyklach żołnierze radzieckiego zwiadu. Od nich to dowiedzieliśmy się, że ruszył już front i Warszawa na pewno jest już wolna.

Podążyliśmy więc do Warszawy...

Kilka tygodni później, w wyzwolonej stolicy, mali warszawiacy — ci od harcerskiej poczty polowej i butelek przeciw czołgom, niedawni łącznicy i byle sanitariuszki, chłopcy i dziewczęta — ustawiali wśród gruzów domów i rumowisk bezimiennych ulic drogowskazy i zmyślnie wypisane znaki na osmalonych deseczkach, oznajmiające: TU JEST ULICA JASNA; albo — SZKOŁA — 50 METRÓW W PRAWO — ZA SPALONYM DOMEM; lub — DROGA DO KWATERUNKU, W DAWNYM SCHRONIE...

Tej pamiętnej wiosny 1945 roku drzewa na warszawskich ulicach strzeliły pąkami z nie spotykaną żywotnością.

Aktualny mistrz Polski niewidomych Mieczysław Krajewski (z lewej) rozgrywa z Bogdanem Rutkowskim partię, która kończy się tzw. matem Beniowskiego.

NIEWIDOMI SZACHIŚCI

W świetlicy przy stoliku siedzi naprzeciw siebie dwóch mężczyzn. Na stole szachownica. Spora ilość leżących obok szachownicy „zbitych" figur oraz skupione twarze grających i kibiców świadczą o tym, że rozgrywają końcówkę. Ale co to? Czyżby to grali niewidomi?

Ależ tak!

Patrzę na szachownicę — jest normalnej wielkości, ma czarne i białe pola. Tylko, że czarne pola są wyższe, wyłożone mozaiką grubości 2—3 mm. Każde pole ma w środku otwór, w który wkładana jest figura — tak jak w szachach turystycznych. Figury też normalnej wielkości i kształtu, tyle, że czarne figury są dodatkowo oznaczone wbitymi w czubek szpileczkami.

— Już — zakomunikował szachista grający czarnymi.

Ręce grającego białymi figurami szybciutko biegną po szachownicy. Mam wrażenie, że one chcą wszystko zagarnąć, zabrać wszystkie figury. Ale nie — one tylko badają sytuację powstałą na szachownicy po wykonanym przez przeciwnika ruchu. Ręce są oczyma niewidomego gracza. Widomy rzuca jedno spojrzenie i ma obraz całej sytuacji. Niewidomy rękoma robi co najmniej kilkanaście ruchów, by zbadać i ocenić sytuację na szachownicy. Ogarnia mnie obawa, że te ręce poprzewracają figury, zepsują ich rozstawienie. Ręce poruszają się szybko, wprawnie, ale i miękko. Białe robią ruch.

— Skoczek z g4 na h6 — krótko komunikują białe.

Teraz ręce partnera grającego czarnymi są spokojne. Otrzymał informację, całą sytuację ma w wyobraźni. Spokojnie myśli i po chwili robi ruch. Gra toczy się dalej.

Mieczysław Krajewski gra ze swoim kolegą Bogdanem Rutkowskim — obaj z poznańskiej drużyny.

Przyjechali na rozgrywki półfinałowe drużynowych mistrzostw Polski niewidowych, które odbywają się w dwóch grupach: w Bydgoszczy i Kielcach. Mieli dziś dobry dzień, wygrali z Zieloną Górą i zakwalifikowali się do finału.

Mieczysław Krajewski jest aktualnym mistrzem Polski niewidomych.

Wzrok straciłem mając 14 lat — opowiada swoją historię. — Było to wiosną 1957 roku. Poszliśmy ze starszym bratem do lasu. Znaleźliśmy zapałniki, zaczęliśmy nimi manipulować. I stało się — brat stracił rękę, a ja wzrok. Zupełnie załamałem się psychicznie. Ale pomogła mi szkoła — już jesienią poszedłem do specjalnej szkoły dla niewidomych. Tam, od kolegów, nauczyłem się grać w szachy. Po roku zostałem mistrzem szachowym szkoły. W 1961 r. startowałem w eliminacjach wojewódzkich, zająłem drugie miejsce i wszedłem do półfinału mistrzostw krajowych. W mistrzostwach Polski w 1962 r. zająłem II miejsce, a w roku ubiegłym zostałem zwycięzcą i zakwalifikowałem się do mistrzostw Europy.

W mistrzostwach Europy rozgrywanych w kwietniu 1966 r. w NRF Mieczysław Krajewski uplasował się w pierwszej dziesiątce.

— Grywam również z widomymi, nawet na kilku szachownicach. Wtedy oczywiście nie badam rękoma sytuacji na szachownicy. Partner podaje mi, z którego pola na które zrobił ruch i jaką figurą, a ja wszystko to sobie wyobrażam pamięciowo. Mam w wyobraźni całą sytuację na szachownicy.

— Nasza drużyna od czterech lat wygrywa turniej o puchar Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy Poznania, w którym grają drużyny widomych.

Mieczysław Krajewski w poznańskiej drużynie niewidomych gra na pierwszej szachownicy, a jego kolega Bogdan Rutkowski na czwartej.

Rutkowski też nauczył się grać w szachy jako niewidomy.

— Straciłem wzrok mając 12 lat — zwierza się pan Rutkowski. — Bawiliśmy się z kolegami w Indian. Kolega rzucił nożem — trafił mnie w oko. Nastąpiło zapalenie sympatyczne drugiego oka i straciłem wzrok zupełnie.

— Niech pan napisze, jak straciliśmy wzrok — mówi Kazimierz — może to stanie się przestrogą dla młodych chłopców. Bo przecież często radio i prasa podaje o tego typu tragicznych wypadkach. Strata wzroku jest najgorszym kalectwem, jakie może być i bardzo bym chciał przestrzec przed lekkomyślnymi zabawami.

Życzymy całej czwórce poznańskich niewidomych szachistów dalszych sukcesów, a Mietkowi Krajewskiemu — w następnych rozgrywkach — zdobycia mistrza Europy.

STEFAN KOJŁO
zdjęcie autora

„NOWOROCZNY KONKURS" ROZWIĄZANY

W 1 numerze „Świata Młodych" z dnia 3.I. br. zwróciliśmy się do Was z licznymi pytaniami w sprawie organizacji wolnego czasu. Otrzymaliśmy aż 3540 odpowiedzi, a wszystkie trzeba było bardzo uważnie przeczytać, bo o wielu ciekawych sprawach nam napisaliście.

Specjalna Komisja po zapoznaniu się z pracami przyznała nagrody (piłki) następującym czytelnikom: Lucyna Szot — Kraków; Ryszard Myrdko — Oświęcim; Barbara Chojewa — Bytom; Krzysztof Adamiec PLO Rejowiec; Franciszek Lis — Strączno; Czesława Morawska — Siedlęcin 134; Lidia Krzętowska — Krzeszowice; Aleksander Botuliński — Zakopane; Kazimierz Musiał — Miłocice; Tadeusz Bośko — Dzierżoniów.

Pozostali laureaci z Warszawy: Magda Raszewska; Elżbieta Jankowska; E. Gniewkowska; Alicja Maczyńska; Mirosława Lewandowska; Anna Świderska; Marek Michalak; Beata Gaj; Jerzy Brujewicz.

Nagrody te ufundowane przez Kuratorium Okręgu Szkolnego miasta stołecznego Warszawy zostaną rozprowadzone przez Kuratorium w sposób następujący:

— laureaci spoza Warszawy otrzymają je pocztą

— laureaci z Warszawy zostaną zaproszeni do Kuratorium i otrzymają tam nagrody.

Zam. 560. T-47.

KIEDY SĘDZIA GWIŻDŻE?... (4)

PANIE SĘDZIO, CHCIAŁ GO KOPNĄĆ!

TAKI OKRZYK słyszymy nieraz na trybunach, kiedy o piłkę znajdującą się „bliżej ziemi, niż nieba", tzn. mniej więcej na wysokości pasa lub kolan zawodników, walczą 2 przeciwnicy: jeden nogą, a drugi głową, jak np. widać na rysunku. Który z zawodników walczy wówczas zgodnie z przepisami?

Odpowiadamy: — ten, który usiłuje zagrać piłkę nogą (na rysunku w białej koszulce), natomiast zawodnik w pasiastej koszulce, główkując w tej sytuacji piłkę naraża się świadomie na niebezpieczeństwo i, zgodnie z przepisami powinien być ukarany rzutem wolnym pośrednim. To trochę dziwnie brzmi, że zawodnik narażony na niebezpieczeństwo powinien być jeszcze ukarany, ale przepisy są w takich sprawach surowe; w piłce nożnej pierwszeństwo mają nogi, zwłaszcza wówczas, kiedy piłkę powinno się zagrywać nogą, a nie głową.